

## POPULIZM MAMY ZAPISANY W KONSTYTUCJI

Ostrzega Zbigniew Pełczyński, politolog, twórca Szkoły Liderów

Rozmowę prowadzi KRZYSZTOF ISZKOWSKI

„Europa”: Wyjechawszy z Polski po II wojnie światowej przez kilkadziesiąt lat mieszkał pan w Wielkiej Brytanii zajmując się filozofią polityki. Zetknięcie się z rodzącą się po 1989 roku polską demokracją musiało być z tej podwójnie – geograficznie i akademicko – oddalonej perspektywy bardzo ciekawe. Co najbardziej zaskoczyło pana w Polsce okresu transformacji ustrojowej?

Zbigniew Pełczyński: Przede wszystkim, wielki ładunek moralizmu. Zostałem zaproszony jako zagraniczny ekspert do komisji konstytucyjnej pod przewodnictwem profesora Geremka, której działalność zakończyła się opracowaniem tzw. „małej konstytucji”. Z pewnych względów nie byłem na paru pierwszych posiedzeniach, więc po przyjeździe do Polski poprosiłem o sprawozdania z pierwszego miesiąca. Dostaję te sprawozdania i widzę, że wszystkie dotychczasowe dyskusje dotyczyły aksjologii konstytucji. A przecież konstytucja jest rzeczą niesłychanie praktyczną! Dotyczy wzajemnych relacji między władzami wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą, mechanizmów kontroli oraz stosunków między państwem a obywatelami. I tyle. Komisja pogrążała się zaś w rozważaniach nad tym, propagowaniu jakich wartości konstytucja ma służyć i o tym, czy zapisać je w preambule czy może gdzie indziej. Poza tym, co nie było po kilkudziesięciu latach komunizmu niczym zaskakującym, tworzącej się polskiej klasie politycznej brakowało całego szeregu cech i umiejętności, które w dojrzałych demokracjach wydawały się naturalne. Szła z nią w parze kolosalna ignorancja, co do tego jak działa nowoczesna polityka, jak skonstruowane są partie i jaką jest natura mechanizmów wyborczych.

„E”: Jakiś przykład?

ZP: W pierwszej kadencji Sejmu, kiedy pojawiły się setki partii politycznych, Aleksander Hall powoływał się w komisji konstytucyjnej na doświadczenia Francji i przekonywał, że najlepszym sposobem poradzenia sobie z rozdrobnieniem jest wzmocnienie pozycji prezydenta. Nie wiedział, że u źródeł sukcesu de Gaulle'a leżała nie tylko reforma konstytucyjna, lecz także stworzenie bardzo silnej partii centroprawicowej, która przez lata dominowała na scenie politycznej. Hall przejawiał częstą wówczas skłonność do czysto mechanicznego myślenia, dał się zwieść złudzeniu, że w celu naprawy państwa wystarczy wiernie skopiować konkretne zachodnie rozwiązania prawne. Oprócz tej naiwności polskich polityków we wczesnych latach 90. cechował też zupełny brak elementarnych umiejętności gry politycznej – prowadzenia kampanii wyborczej, zwracania się do wyborców...

„E”: Więc postanowił ich pan tego nauczyć...

ZP: Zdawałem sobie sprawę, że ci, którzy są już aktywni w polityce, nie będą mieć ani czasu ani chęci do nauki, więc postanowiłem skupić się na młodych. Zwracałem także uwagę na to, by założona przeze mnie szkoła – nazywała się Szkołą Liderów Społecznych i Politycznych – nie została zdominowana przez polityków i żeby przekazywane przez nią umiejętności nie były umiejętnościami czysto partyjnymi. „Techniczne” kształcenie młodych polityków jest niezmiernie ważne, bo nowoczesna demokracja opiera się na partiach i zawodowych politykach, ale sama polityka powinna być postrzegana szeroko, nie jako między- i wewnątrz-partyjna rywalizacja, lecz zgodnie z greckim pochodzeniem słowa, jako całość działań na rzecz poprawy wspólnego losu. W polityce oprócz partii mieszczą się także rozmaite organizacje pozarządowe, media, think-tanks, lobbies. Dobrym przykładem może być działalność takiego Sławomira Sierakowskiego, który zajmuje się polityką, ale robi to redagując pismo, a ostatnio prowadząc wydawnictwo. Muszę jednak poczynić zastrzeżenie – klasy politycznej nie da się świadomie kształtować. To nie jest służba cywilna, policja, ani wojsko. Klasa polityczna jest samoistnym produktem struktury społecznej, uwarunkowań historycznych, sytuacji politycznej. Musimy pogodzić się z tym, że jeszcze przez jakiś czas będzie ona w Polsce odbiegać od zachodnich standardów. Jestem jednak dobrej myśli – absolwenci Szkoły zaczynają odnosić sukcesy, choć ciągle są kroplą w morzu. Jeden był ministrem, siedmiu – posłami (sześciu w ostatnim, jeden w poprzednim Sejmie), jest w tym gronie dwóch wicemarszałków sejmików wojewódzkich, kilku starostów, prezydentów i vice-prezydentów dużych miast, ponad stu innych samorządowców, wreszcie – wielu asystentów czołowych polityków. Najbardziej cieszę się z tego, że tak wielu z nich powiodło się na szczeblu lokalnym, bo to właśnie w samorządach przetrwał etos wspólnego działania i mam nadzieję, że wraz z absolwentami Szkoły powróci on na poziom krajowy.

„E”: Wielokrotnie, również uzasadniając wybór nazwy dla Szkoły, mówił pan o różnicy między liderem a przywódcą. Na czym ona polega?

ZP: Pierwotnie słowo „leader” oznaczało osobę przeprowadzającą podróży przez bagna i góry, nie miało, inaczej niż polskie słowo „przywódca”, pochodzące przecież od „wodza” nic wspólnego z wojskowością, hierarchią i dyscypliną. Istotą bycia liderem jest oczywiście posiadanie i sprawowanie władzy, ale władza ta nie powinna się opierać na mocy wyrzucenia z partii lub innego ukarania dysydentów, lecz na autorytecie i na zaufaniu ludzi, którzy wierzą, że lider prowadzi ich we właściwym kierunku. Oznacza to, że lider musi umieć słuchać, a wszystkie decyzje podejmować po omówieniu ich w węższym lub szerszym gronie, zależnie od tego, czego dotyczą.

„E”: Wróćmy do pana obserwacji w Polsce pierwszych lat po Okrągłym Stole. Powiedział pan, że jednym z głównych ówczesnych problemów był prowincjonalizm ludzi aktywnych w życiu publicznym, nieznajomość – lub tylko powierzchowna znajomość – rozwiniętego i

demokratycznego świata zachodniego. Przypomniało mi to o krytyce kierowanej pod adresem środowiska „Gazety Wyborczej” przez środowiska prawicowe i najmłodsze pokolenie antykomunistycznych opozycjonistów. Solidarnościowej lewicy zarzucali oni – i nadal zarzucają – że próbowała wykorzystać swoją „światowość” do umocnienia własnej dominującej pozycji w polityce, do zablokowania dyskusji na niektóre tematy, wręcz – jak pisał w „Ładzie” w roku 1990 Stefan Niesiołowski – do budowy nowej monopartii. Zgodzi się pan z taką diagnozą i taką krytyką?

ZP: Rzeczywiście, w środowisku „Wyborczej” dawał się wyczuć element mentorstwa – „my wiemy lepiej, my jesteśmy bliżsi Zachodowi”. Szczerze mówiąc, nie wiem, jakie były podstawy do tych stwierdzeń, bo jeśli dobrze pamiętam Michnik nie podróżował w czasach PRL zbyt wiele i nigdy nie studiował na zachodzie. Nie wiem też, co miało być według tego obozu wzorem do naśladowania – Wielka Brytania, gdzie w czasach pani Thatcher lewica była w zupełnej rozsypce? Francja socjalisty Mitterranda, w gruncie rzeczy bardzo prawicowa? Najprędzej chyba RFN z małą partią liberalną, która rządziła na przemian z chadekami i socjaldemokratami... Trudno w tym mentorstwie i przedstawianiu się jako wiodąca siła, która uczy społeczeństwo i wprowadza zachodnie instytucje i kulturę polityczną do kraju, który był ich pozbawiony, nie dostrzec metody realizacji politycznego interesu. Nie podejmuję się oceny, na ile była to strategia słuszna i skuteczna. Sądzę jednak, że użycie „światowości” jako czynnika legitymizującego wywołało reakcję w postaci odwoływania się do polskiej tradycji, religii oraz idei narodowej. Rezultatem był trwający do dziś nawrót sarmatyzmu, który w innych warunkach nie musiał być tak silny.

Wysoka w ostatnich latach popularność tego, co Hegel nazwał „patriotyzmem heroicznym” oraz maniera „czerpania z tradycji narodowych” bardzo mnie niepokoją, chociażby dlatego, że Polacy mało mają historycznych tradycji, z których można by z sensem i pożytkiem dla rozwoju liberalnej demokracji czerpać. Coraz częściej mam wrażenie, że zaprzepaszczamy swoje szanse. Po roku 1989 dostaliśmy możliwość budowy nowego charakteru narodowego, nowej, zorientowanej na przyszłość tożsamości. Pamiętając o strasznej przeszłości i mając świadomość polskiego zacofania, można było zjednoczyć się wokół idei nowej, bogatej, nowoczesnej i stanowiącej część Zachodu Polski.

„E”: Dlaczego ten projekt nie wszystkich przekonał?

ZP: Grupą, dla której idea nowego początku okazała się najbardziej atrakcyjna, byli dawni komuniści. Nie trzeba chyba tłumaczyć dlaczego - najnowsza, powojenna, historia została powszechnie, także przez nich samych, uznana za niewartą kultywowania, a w historii wcześniejszej nie było nic, do czego mogliby się odwołać. Dla większości społeczeństwa postkomuniści byli jednak niewiarygodni, a ten ich brak wiarygodności dotyczył również programu, który głosili. Skutecznie skompromitowali zatem przyszłościową orientację polskiego życia publicznego i sprawili, że górę wzięła orientacja przeszłościowa, co –

powtórzę – uważam za rzecz bardzo niekorzystną, bo w polskiej tradycji politycznej mało jest rzeczy dobrych i wartościowych.

„E”: Niektórzy politycy PiS, jak również ludzie, którzy określają się mianem prawdziwej lewicy, odpowiedzieliby na pana żale, że nie udało się przeforsować „przyszłościowej tożsamości” stwierdzeniem, że bardzo dobrze, bo był to program ekskluzywny. Żeby wziąć w nim udział – i odnieść z tego jakieś korzyści – trzeba było znać angielski i mieć jakieś zagraniczne doświadczenia. Szybko okazało się, że nową Polskę łatwiej było budować w 5, niż w 38 milionów...

‘- Muszę zgodzić się z tą krytyką. Elity rzeczywiście zbyt skupiły się na wskaźnikach makroekonomicznych, a zbyt mało uwagi poświęcały ich społecznym implikacjom. Być może naiwnie spodziewano się, że reformy przyniosą szybkie rezultaty – a tymczasem okazało się, że trzeba było na nie czekać tak długo, że większość społeczeństwa przestała wierzyć, że i dla niej nowy porządek będzie bardziej korzystny niż stary. Patrząc z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że owoce wzrostu powinny być szerzej rozdawane, nawet jeśli miałyby to oznaczać jego powolniejsze tempo. Mam również wrażenie, że mimo oficjalnych deklaracji elity nie doceniły wagi społeczeństwa obywatelskiego, tego jak istotne jest poszerzanie i pogłębianie oddolnej aktywności i zaangażowania. Oczywiście nie można robić tego metodami administracyjnymi lub finansując wszystkie stowarzyszenia i fundacje z budżetu państwa, bo byłoby to sprzeczne z sensem ich istnienia. Elity powinny być jednak patrzeć na te oddolne ruchy z większą sympatią. Tymczasem polska klasa polityczna zamknęła się we własnym świecie, do którego dopuściła przedstawiciele mediów i paru intelektualistów, wykluczając społeczeństwo z politycznej debaty. W Wielkiej Brytanii nawet najważniejsi politycy spędzają weekendy we własnych okręgach wyborczych, a jednym z najważniejszych zadań członków partii jest badanie nastrojów społecznych. Nie robią tego po to, by co miesiąc rzucać jakiś chwytliwy slogan, ale po to, by wiedzieć, nad rozwiązaniem jakich problemów trzeba się rzeczywiście zastanowić.

„E”: W którym momencie polska polityka poszła w złym kierunku?

ZP: Na samym początku. Podział obozu solidarnościowego był moim zdaniem szkodliwy i przedwczesny. Przy Okrągłym Stole zgodzono się, że system komunistyczny zostanie zlikwidowany, ale obie strony zakładały, że nastąpi to stopniowo. PZPR miała utrzymać władzę na cztery lata, podczas których opozycja miała się przygotować organizacyjnie, programowo i mentalnie do rządzenia krajem. Oddanie władzy przez zszokowanych swoją klęską komunistów pozbawiło ludzi „Solidarności” czasu na budowę jednego – lub, bardziej prawdopodobnie, dwóch – silnych i zdolnych do rządzenia ugrupowań.

„E”: Nie sądzę byśmy wyszli lepiej na dodatkowych czterech latach władzy PZPR, nawet kontrolowanej przez silną parlamentarną opozycję, niż na „kontraktowym” rządzie Mazowieckiego i na przepychankach w Sejmie I kadencji. W najlepszym wypadku gabinet

Rakowskiego albo Cimoszewicza przeprowadziłby program rynkowych reform gospodarczych, bolesnych dla większości społeczeństwa, zyskał poparcie tych, którym udało się w nowych warunkach, a solidarnościową opozycję zepchnął do populistyczno-bogoojczyźnianego narożnika...

ZP: Zgadząc się na okrągłostołowe rozwiązanie, ludzie „Solidarności” liczyli na to, że ich ruch się nie rozpadnie, chociażby dlatego, że cementować go będzie niechęć do ciągle rządzących komunistów. A wyrażając tę niechęć w Sejmie zamiast na ulicznych demonstracjach tworzyliby podwaliny demokratycznej polityki. Choć oczywiście możliwe, że stałoby się tak, jak pan mówi. To zabrzmiałoby jak rozgrzeszanie generała Jaruzelskiego, ale osobiście dostrzegłem destrukcyjny potencjał „Solidarności” już na początku roku 1981. Pojechałem wtedy do Hotelu Morskiego w Gdańsku i z bliska przyglądałem się rozwojowi sytuacji. W pewnym momencie Wałęsa został wezwany do Warszawy na konsultacje w sprawie wolnych sobót. Przekonano go, że w obliczu kryzysu gospodarczego nie da się tego rozwiązania wprowadzić. Wrócił do Gdańska i zaczął tłumaczyć, że niestety władza ma rację i z postulatu pięciodniowego dnia pracy trzeba będzie zrezygnować. Zanim skończył mówić, podniosły się krzyki, że nie ma mowy. Po jakiejś godzinie zorientował się, że sprawa jest stracona – i całkowicie zmienił front, przyłączając się do populistów i podkreślając, że jedne konsultacje nie rozwiązują problemu.

„E”: Nie ma pan wrażenia, że w zakończonej właśnie kadencji Sejmu wróciliśmy do bardzo emocjonalnego i mało produktywnego stylu uprawiania polityki z początku lat 90.?

ZP: Nie jest aż tak źle. Administracja państwowa jest bardziej profesjonalna, rząd przygotowuje bardziej przemyślane i solidne projekty legislacyjne. Są jednak również problemy – podstawowym jest wszechwładza i samowola Sejmu. To, co zdarzyło się parę tygodni temu, kiedy posłowie lekką ręką podwoili i tak dość populistyczną propozycję rządu przyznania podatkowych ulg na dzieci, jest rzeczą niesłychaną. W żadnej dojrzałej zachodnioeuropejskiej demokracji parlament nie może samowolnie obciążać budżetu! Może go tylko zaaprobować albo odrzucić. To samo dotyczy legislacji. Tymczasem w Polsce rząd przez całe miesiące prowadzi żmudne prace nad jakąś wysoce skomplikowaną ustawą, konsultuje projekt z zainteresowanymi grupami społecznymi, doprowadza do kompromisu między przeciwstawnymi interesami, a potem wysyła rzecz do Sejmu, gdzie paru posłów rwie całą rzecz na kawałki wprowadzając losowe i niespójne z resztą projektu zmiany. A potem komisja sejmowa rozważa te „poprawki” na równi z oryginalnym rządowym projektem – i z reguły daje Sejmowi do zaakceptowania rzecz, która w krótkim czasie musi być znowelizowana, bo nie działa tak, jak powinna.

Sensem istnienia parlamentu w nowoczesnej demokracji jest sprawowanie kontroli nad władzą wykonawczą. Ktoś – jedna partia lub kilka ugrupowań, które zawiązują koalicję – wygrywa wybory na podstawie jakiegoś programu i z realizacji tego właśnie programu

powinien być rozliczany. Jak jednak można rozliczać rząd z czegoś, co w równym stopniu jest wynikiem działania rządu, w którym zasiadają partyjni liderzy, jak i oddolnych sejmowych koalicji? Populizm jest w Polsce umocowany konstytucyjnie. Po upadku komunizmu popełniono ten sam błąd, co w roku 1918 - stworzono system polityczny na wzór III Republiki Francuskiej – z nieproporcjonalnie dużą rolą parlamentu i słabą władzą wykonawczą.

„E”: Sugeruje pan, że trzeba zmienić konstytucję?

ZP: Niekoniecznie. Wystarczy ukrócić samowolę posłów, do czego najlepszą drogą jest wzmocnienie partii politycznych. Władza brytyjskiego parlamentu, jeśli spojrzeć na jego konstytucyjne uprawnienia, jest przerażająca – może wszystko. Ale w praktyce skutecznie ogranicza ją dyscyplinujące oddziaływanie partii. Z wyjątkiem zupełnie ekstremalnych przypadków premier może liczyć na solidarność i poparcie przedstawicieli partii, której przewodzi. I jest to bardziej rzecz obyczaju niż prawa, bo w Stanach Zjednoczonych, gdzie również jest system dwupartyjny i większościowa ordynacja wyborcza, kongresmeni zachowują się zupełnie inaczej – każdy głosuje według własnych przekonań i własnej kalkulacji, co zostanie lepiej przyjęte w jego okręgu wyborczym.

„E”: To powinno stanowić przestrożę przed postulowanym od paru lat przez Platformę Obywatelską wprowadzeniem większościowej ordynacji wyborczej...

ZP: Jednomandatowe okręgi w wyborach do Sejmu na pewno nie są panaceum na polskie problemy – pod pewnymi względami mogłyby pomóc, a pod innymi zaszkodzić. Być może należałoby zacząć od eksperymentu z systemem niemieckim, w którym część posłów wybierana jest w okręgach jednomandatowych, a część z list partyjnych. Generalnie jestem sceptyczny co do planów wielkich i radykalnych reform. III RP, polska demokracja po roku 1989 miała wiele ułomności, ale nie znaczy to, że należało ją w całości przekreślić. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że proces oczyszczenia zaczął się i postępuje w ramach systemu. Slogan IV RP, przywodzące na myśl Huxleya plany budowy nowego wspaniałego świata okazały się zupełnie niepotrzebne.

„E”: Na koniec, z racji zbliżających się wyborów, zapytam pana o ocenę czołowych polskich polityków. Zarówno o Jarosławie Kaczyńskim jak i o Donaldzie Tusku mawia się, że rządzą swoimi partiami silną ręką, że są, by użyć wprowadzonego przez pana rozróżnienia, bardziej wodzami niż liderami. Podpisze się pan pod tą krytyką?

ZP: Obydwu udało się od zera zbudować silne partie, co dowodziłoby cech raczej liderek niż wodzowskich. Jednak to nie sposób rządzenia partiami jest ich – i Polski – głównym problemem. W Polsce nie ma dziś ani silnej lewicy, ani silnego centrum, przez co obydwie główne partie nie tylko głoszą podobne hasła, ale także przyciągają podobne osobowości, często podkradając je sobie nawzajem. Ponieważ programowo niewiele ich różni, muszą koncentrować się na kwestiach retorycznych i na potknięciach przeciwnika. To tylko podgrzewa atmosferę i wzmacnia zniechęcenie wyborców polityką.